Nr. 24. Lwów, dnia 22. lipca 1900. Tom I.

ROMANS I POWIEŚĆ

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE BELLETRYSTYCE.

Wychodzi każdej niedzieli.

Cena we Lwowie: rocznie 10 koron, półrocznie 5 koron, kwartalnie 2 kor. 50 h.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Lwów, pl. Marjacki 6.

Cena dla prowincji: rocznie 12 koron, półrocznie 6 koron, kwartalnie 3 korony.

ZBIEG.

PRZYGODA PANA JANKLA GIPS

przez

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Dokończenie).

Głównym przedmiotem, zajmującym jego umysł w tej chwili, było cielę Kupił je wczorajszego dnia od chłopa, z wielkim targiem za dwa ruble w gotowiźnie, i za kilka miarek wódki w naturze. Kupił je niedrogo i mógł liczyć napewno, że zyska na niem przynajmniej półtora rubla, jeżeli nie całe dwa — i trzeba nieszczęścia, żeby akurat była tego dnia burza, żeby obaliła drzewo na drodze, napełniła wodą rów zazwyczaj suchy i przyczyniła się do ucieczki cielęcia.

Jankiel miewał już w życiu swojem różne wydarzenia i przygody, nawet bardzo szczególne i nadzwyczajne; niewypłacalny dłużnik mu uciekł i wyemigrował do lasu — ale żeby cielę, dobrze związane, uciekło z biedki, to się jeszcze Janklowi nigdy nie zdarzyło. Gdyby wreszcie taka przygoda stała się w zwykłym czasie, to byłoby pół biedy — ale przed jarmarkiem, to już poprostu nieszczęście...

Doprawdy nie ma na świecie nic tak zawodnego i ryzykownego jak handel, zwłaszcza wiejski... Ci wielcy kupcy, którzy siedzą przy wygodnych biurkach, i sprowadzanie towarów z za morza uskuteczniają przez korespondencję, nie mogą mieć wyobrażenia, z jakim wielkim nieraz kłopotem i ambarasem połączone jest nabycie marnej gęsi, albo kury...

Oni się znają na handlu — jak koza na pieprzu! Jankiel się zna.

Uszedł spory kawałek drogi, potykając się na wystających z ziemi korzeniach, zapadając w wyboje, nagle zatrzymał się... Wśród ciemności, do której oko jego cokolwiek już przywykło, tuż prawie przy dróżce, pod grubym pniem dębu, dostrzegł jakąś masę, przedmiot niepodobny ani do zwalonej kłody, ani do mrowiska. Jankiel wstrzymał w sobie oddech, aby owej masy nie spłoszyć, stanął i wytężył wzrok i słuch, jak tylko umiał i mógł...

W samej rzeczy masa drgnęła i zdawało się Janklowi, że przy tem wykonała ruch zupełnie podobny do kopnięcia. Ruch ten powtórzył się kilkakrotnie — nie ulega zatem wątpliwości, że ów przedmiot jest to Janklowe cielę.

Jankiel jeszcze czekał trochę i słuchał, dochodził jego uszu jakiś niewyraźny szmer — przybliżył się o kilka kroków dalej... nie to nie jest żaden szmer, to sapanie, troszkę chrapliwe, ale i to się tłómaczy: cielę wpadło w wodę, przeziębiło się, ma trochę kataru. Taki to jest bez najmniejszej wątpliwości cielę... a skoro jest, to trzeba je złapać; pochwycić je znienacka, odrazu, mocno i związać, żeby nie uciekło znowuż.

Dość już przecież tej gonitwy po lesie i

w ciemności, czas ją skończyć i spieszyć na jarmark: szkapa sobie wypoczęła trochę, uskubała cokolwiek trawy, więc powinnaby mieć siłę i polecieć z impetem, jak ptak. Postanowiwszy zabezpieczyć się od głupich intencyj cielęcia, Jankiel sięgnął do kieszeni i wydobył ztamtąd kawałek mocnego sznurka, aby zaraz zbiega związać i zanieść na biedkę... Trzymając sznurek ów w ręku, skradał się powoli, krok za krokiem, jak nieprzymierzając kot do myszy — a zmiarkowawszy, że już się zbliżył na dostateczną odległość, jednym skokiem rzucił się naprzód i całym ciężarem swego ciała przygniótł nieszczęsne cielę.

Jęknęło ono dziwnym głosem i szarpnęło się rozpaczliwie, ale Jankiel trzymał mocno... Stała się jednak rzecz nadzwyczajna, cielę nie poprzestając na szamotaniu się i czysto biernym oporze, już nie z energią, ale z wściekłością raczej przeszło do akcji zaczepnej.

Jankiel uczuł, że go ktoś, czy coś chwyta za szyję, jak kleszczami przyciska do siebie nadzwyczaj silnie i klnie...

Jankiel ogłuszony, na wpół przytomny, usłyszał jednak wyraźnie wyraz „psia kość“...

Jeszcze żadne cielę na świecie nie przemówiło w ten sposób. Była to jednak wskazówka, jakim językiem można się z tem strasznem czemś, potworem, widmem, czy złym duchem porozumieć. Jankiel też natychmiast, głosem rozpaczliwym zaczął wołać:

— Puść! puść...

Swoją drogą sam nie puszczał...

— Ty puść.. odezwała się ofiara...

— Puść!

— Puść...

— Ty wpierw...

— Nie puszczę, sam puszczaj, coś za jeden, zbójco! czego chcesz?...

— Nic nie chcę... puść mnie... ja myślałem, że to moje cielę...

— Ja mam być twoje cielę? a któżeś ty?

— Kto ja mam być? Ja jestem Jankiel.

— Jankiel?

— Jankiel Gips! kto nie zna Jankla Gips.

— Niechże cię najjaśniejsze jasności!

— Za co jasności?

— Toście mnie dopiero przestraszyli, zawołał ów człowiek i odepchnąwszy Jankla, zerwał się na równe nogi.

Dopiero wtedy przerażony finansista zobaczył, z kim ma do czynienia. Stał przed nim chłop ogromnego wzrostu, wysoki, barczysty, silny olbrzym. W nocy wydawał się jeszcze większym, niż był w rzeczywistości. Stał zdumiony, niespodziewanym napadem, zdumiony nie mniej od Jankla, któremu nie mogło nawet przyjść na myśl, aby mógł się rzucić na takiego chłopa.

Po krótkiej chwili milczenia olbrzym przemówił pierwszy.

— Prawda, teraz już cię poznałem, mój żydku i widzę, że jesteś Jankiel Gips, ale się nie do swoich rzeczy bierzesz.

— Ja!?

— Ha, no — chyba nie ja, ale na drugi raz, jeżeli zechcesz mnie łapać, to weź z sobą przynajmniej ze czterech tęgich chłopów, bo wiesz, że ułomek nie jestem i nie można mnie wziąć jedną ręką, jak kota...

— Mój człowieku, ja nie wiem. kto wy jesteście i nie rozumiem, co mówicie. Na moje sumienie, ja do was nie mam żadnego interesu, łapać was wcale nie chciałem i będę bardzo kontent, jak sobie ztąd pójdę...

— Hola... ztąd nie pójdziesz — rzekł olbrzym i położył ogromną swą łapę na ramieniu Jankla.

— Dla czego nie mam pójść? kto mi zabroni?

— Ja!

— Proszę was, nie gadajcie wy głupstwa, przecież wy nie wójt, ani nie sołtys. Paszportu nie mam potrzeby wam pokazywać.

— To się zaraz obaczy, rzekł drab, biorąc Jankla za kołnierz.

— Mój panie, ja pana bardzo proszę, daj mi pan spokój.

— A dlaczego chciałeś mnie związać..

— Tfy! ja chciałem złapać i związać cielę, które mi uciekło! Po co ja miałem łapać pana, kiedy ja pana wcale nie znam i nie mam do pana żadnego interesu, ja wcale nie wiem, kto pan jesteś i czem się pan trudnisz i nie wiem wcale, jak się pan nazywasz.

— Nie kłam... bo wiesz... Myślałeś, że mnie weźmiesz śpiącego i nagrodę za to dostaniesz.. Wiesz, że uciekłem z więzienia, że mnie tropią ciągle, jak wilka, że się nazywam.. Kominek...

Usłyszawszy to nazwisko Jankiel osunął się na ziemię, jak martwy. Kominek był to zbrodniarz bardzo głośny w okolicy: kradł, grabił, urządzał napady na domy. Dostać się w ręce takiego majstra było bardzo niebezpiecznie. Zrozumiał to Jankiel doskonale i uważał się za straconego. Zbój mógł myśleć, że istotnie

Jankiel chciał go ująć i w ręce władzy wydać. Jedno pchnięcie noża... i.. pod wpływem tej myśli Jankiel zemdlał.

Zbój wstrząsnął nim kilka razy, prysnął mu w oczy wodą z kałuży i ledwie do przytomności powrócił..

Otworzywszy oczy i zobaczywszy strasznego draba przy sobie, Jankiel byłby zemdlał powtórnie, ale Kominek zachowywał się spokojnie.

— Mów — rzekł — wszystko szczerze, jak było, a jeżeli skłamiesz jedno słowo, to...

Z płaczem opowiedział Jankiel swoją przygodę, mówił o jarmarku, o obalonem drzewie, o cielęciu, o poszukiwaniu w ciemności, przysięgał się na zdrowie, na życie, na żonę, na dzieci, że łapanie przestępców nie jest jego fachem, że on osobiście, ze swego punktu widzenia, nie może mieć nic przeciwko temu, że ktoś trudni się rozbojem, lub grabieżą..

— Mój panie Kominek, wielmożny, jaśnie panie Kominek!... Co mi to szkodzi, ja żyję ze spekulacji, pan żyjesz ze spekulacji — każdy człowiek musi jakoś spekulować. Pan myślisz, że ja też nie grabię i nie straszę ludzi, owszem straszę tylko trochę delikatniej — innym sposobem.. Ja nie mam takiej siły i takiego zdrowia, jak pan dobrodziej. Pan powiada, że ja pana chciałem złapać... Czyż ja jestem podobny do warjata. Mnie jeszcze życie miłe, a moje zdrowie jest bardzo delikatne, ja miałbym się rzucić na taką osobę, na takiego pana. Niech moje wrogi robią takie interesa.

Opryszek słuchał tego opowiadania uważnie, nareszcie rzekł po namyśle:

— No, zdaje mi się, że nie kłamiesz. Ile masz przy sobie pieniędzy.

Jankiel miał przy sobie kilka rubli w portmonetce, oprócz tego w różnych skrytkach kapoty i w czapce. W milczeniu wyjął woreczek z kieszeni i podał zbójcy, mówiąc:

— Ja tam nie wiem, niech pan porachuje. Drab zapałką sobie przyświecając policzył.

— Djabelnie mało — rzekł.

— Mało, może być, że mało, ja jadę na jarmark, jak będę powracał, to wcale co innego, może pan na mnie zaczeka...

— A ty przyjedziesz z policją!?

— Panie, ja jestem honorowy człowiek, mogę inną drogą wracać, ale zrobić panu figla, to nie mój zwyczaj.

Kominek odprowadził Jankla do biedki. obejrzał konia, bo już trochę świtać zaczęło, lecz przekonawszy się, że nic nie wart, uniósł się wspaniałomyślnością i pozostawił go Jankiowi.

— Możesz wracać — rzekł — ale jeżeli słówko piśniesz, żeś mnie widział, to przysięgam, że cię własną ręką zarżnę jak barana, a twoje domostwo z dymem puszczę... gdyby mnie ujęli z twojej przyczyny... to moi przyjaciele się zemszczą, siadaj teraz i jedź.

Nigdy w życiu Jankiel nie wskoczył na biedkę tak zgrabnie, jak w tym razie, nigdy nie uderzył szkapy z taką siłą, ta też, jak gdyby pojmując ważność sytuacji, pomknęła jak za młodych lat.

— Czekaj-no, czekaj! — zawołał drab.

— Co jeszcze wielmożny pan rozkaże...

— Nie spiesz się, poszukaj swego cielęcia.

— Nie mam czasu, dalibóg nie mam czasu... Niech pan łaskawy poszuka i znajdzie dla siebie... Ja będę bardzo kontent, jeżeli przyjmie pan odemnie taką małą bagatelkę.

SPRAWA SZENBACH

(Z NIEMIECKIEGO).

I.

Tam, gdzie lśnią się w promieniach słońca śnieżne szczyty Semmeringu, gdzie dzikie Alpy roztaczają uroki swoje, gdzie zachwycone oko wędrowca ze skał spada w uroczą, wiecznie zieloną dolinę, stał piękny i dumny zamek — siedziba panów na Wittingenie.

W tym to zamku, otoczonym wysokiemi jodła-

mi i świerkami rosły dwie ostatnie latorośle prastarego rodu Wittingenów — Janek i Laura. Niżej, gdzie wiejski kościółek rzucał swój cień na brzegi gór, stał maleńki zgarbiony domek, w którym nauczyciel Florjan Romaizer zasiewał ziarna wiedzy i cnoty w serca i głowy okolicznej dziatwy. W tym domku pod staranną opieką ojca wzrastał jedyny syn Florjana, któremu hrabia, jako chrzestny ojciec, nadał imię Fryderyka. — Stosunki pomiędzy zamkiem i domkiem nauczyciela były bardze serdeczne. — Fryderyk, Janek i młodsza od nich o lat trzy Lorcia byli nierozłącznymi towarzyszami zabaw. Razem biegali po parku, razem chwytali motyle, razem je ździli łódką i karmili ryby w zamkowym stawie

Wspólne cierpienie złączyło jeszcze ściślej starych przyjaciół. — Straszny gość zawitał z tamtej strony Alp, i szorstką, nieubłaganą dłonią chwytał ofiarę za ofiarą: cholera wciskała się wszędzie Odrywała dzieci od piersi matek, dzieciom zabierała matki, nie pytając, czy w prostej lepiance, czy w dumnym pałacu się kryły.

Jednego też dnia zawitała do pałacu Wittingenów i do domku nauczyciela, i tu i tam zostawiając po sobie zimnego trupa, łzy i rozpacz osieroconych

Smutnem było pierwsze spotkanie starych przyjaciół. Hrabia wyciągnął rękę, i, ściskając prawicę Florjana, rzekł:

— Tyle razy cieszyliśmy się wspólnie, dziś będziemy wspólnie płakać

— O panie hrabio! — odpowiedział nauczyciel panu została pociecha. Przy boku ma pan żyjący portret zmarłej — dodał, wskazując na Lorcię — odmłodzony tylko i jaśniejszy, bo żadną życiową troską jeszcze nie tknięty; my zaś z moim biednym Fryderykiem będziemy już sami, zawsze sami.

Łkania wstrząsnęły mu piersią, a siwa głowa pochyliła się ku ziemi.

— Odwagi, przyjacielu! — rzekł hrabia, kładąc mu rękę na ramieniu zapominasz, że dziś ciężą na nas podwójne obowiązki i że rachunek z nich zdać będziemy musieli przed temi, które nas wyprzedziły, a z któremi może niedługo już zobaczymy się znowu

— Tak, ja ją zobaczę i prędko zobaczę — szepnął nauczyciel, a ostatni promień zachodzącego słońca rozjaśnił jego smutne, zroszone łzami oblicze. Od tego czasu przyjaciele stali się prawie nierozłączni, każdą wolną chwilę spędzali razem, dzieląc się troską lub ciesząc się szczęściem dzieci, które wesołością swą i pustotą dawały im nieraz chwile zapomnienia.

II.

Czas mijał szybko W stosunkach starych przyjaciół nic się nie zmieniło. Zamek tylko posmutniał i ucichł, bo zabrakło w nim młodych głosów, co napełniały go gwarem i śmiechem. Janek i Fryderyk ślęczeli w mieście nad książkami: pierwszy w akademji wiedeńskiej, drugi w Gracu w gimnazjum. Lorcia pozostała w domu z nauczycielką, gdyż hrabia nie chciał się rozłączyć ze swoją pieszczoszką.

Tak biegły lata.

Pewnego wieczoru — zachodzące słońce rzucało ostatnie blaski, kryjąc się za ścianą olbrzymich dębów i topoli, co otaczały olbrzymi staw zamkowy — dwaj przyjaciele siedzieli na tarasie, przysłuchując się wesołemu szczebiotowi młodzieńczych głosów, jakie dochodziły do nich z nad stawu.

Młodzież tymczasem bawiła się wesoło. Lorcia, siedząc u steru łódki, kierowała ją ku brzegowi; Janek i Fryderyk wiosłowali zawzięcie. Nareszcie przybili do brzegu Młodzieńcy szybko wyskoczyli, chcąc pomódz Lorci przy wysiadaniu, lecz dziewczka cofnęła się ze śmiechem: wołając:

— Czekajcie, nie tak prędko! Przedewszystkiem nagroda dla wioślarzy. I z temi słowy wyjęła z za paska dwie małe różyczki i przyozdobiła niemi odzież młodzieńców, dumnych z takiego odznaczenia.

— A teraz biegnijmy do ojca! — zawołała, puszczając się naprzód

W tej jednak chwili, silny pęd wiatru zerwał słomkowy kapelusik dzieweczki, a, pobujawszy nim w powietrzu, zawiesił na wysokiej gałęzi starego dębu

— Mój Boże, moja pasterka! — zawołała Lorcia, patrząc z żalem na wiszący wysoko kapelusz

— Zaraz będziesz go miała, siostrzyczko! — zawołał Janek i pobiegł po wiosło, chcąc przy jego pomocy ściągnąć na ziemię niesfornego zbiega.

Lecz Fryderyk, zręczny jak wiewiórka, jednym skokiem dostał się na drzewo, a przesuwając się pomiędzy gałęziami, schwycił za kapelusz, jednocześnie jednak rozległ się trzask złamanej gałęzi i młody chłopiec zwalił się na ziemię.

Przeraźliwy krzyk przeszył powietrze. To Lorcia przerażona zakryła twarz rękami, nie chcąc patrzeć na śmierć przyjaciela. Przestraszeni hrabia i nauczyciel pobiegli spiesznie na miejsce wypadku, zanim jednak stanęli pod dębem, już Fryderyk zdrów

i cały zbliżył się do Lorci, a zgrabnie podając jej zdobyty kapelusz próbował uśmiechem i wesołem słówkiem uspokoić przerażone dziewczę

Chwilę patrzyła Lorcia na ukochanego towarzysza, aż nagle, jakby siłą jakąś popchnięta, zarzuciła mu obie rączki na szyję, i przycisnęła swoją jasną główkę do piersi młodzieńca. Fryderyk zachwiał się nagle niepomny na wszystko, nie zdając sobie sprawy ze swoich czynów, przycisnął tę drogą główkę do serca, i gorące wargi chłopaka dotknęły na chwilę czystego czoła dziewczyny.

Wszystko to stało się tak szybko, że obaj ojcowie nie mieli czasu się wtrącić. Nie rzekli też ani słowa, tylko czoła ich pokryły się chmurą zamyślenia, a w jasnych oczach nauczyciela odbił się wyraz bólu, połączonego z surową jakąś powagą

III

Cisza panowała dokoła Srebrny księżyc rzucał łagodne światło swoje na ciemną zieleń parku, na jasną szybę stawu, który, jakby senny, łagodnie załamywał ciekawie zaglądające w głębie promienie.

W otwartem oknie wiejskiej szkoły, z głową wspartą na ręku siedział Fryderyk. Późno już było, lecz on nie słyszał bijących godzin. Postać Lorci unosiła się przed jego oczami, czuł jeszcze dotknięcie ciepłych jej rączek, czuł ciężar drogiej jej główki na swojej piersi i słodkie jakieś rozmarzenie ogarniać go poczęło — rozmarzenie, z którego nie umiałby zdać sobie sprawy, a które jednak dziwną napełniało go błogością. Nagle głos ojca przywołał go do rzeczywistości.

— Nie spisz, Fryderyku? — zapytał stary nauczyciel

— A ty, ojcze, wszak to już późno — zawołał młody. — Czy ci co dolega? — dodał nagle zaniepokojony.

— Nic mi nie jest, mój chłopcze, myślałem tylko długo, myślałem o tobie, że mnie zabolało serce i przyszedłem uspokoić się trochę. Chodź, mój biedaku, usiądź tu przy mnie i porozmawiajmy otwarcie.

Niewytłumaczone przeczucie ścisnęło serce młodego człowieka. bez słowa jednak zbliżył się do kanapki i zajął miejsce przy boku ojca.

Ten objąwszy głowę syna rzekł z mocą:

— Słuchaj, Fryderyku, i zapamiętaj słowa moje. bo jestto surowy głos obowiązku, któremuśmy nigdy dotychczas nie uchybili. Ty musisz, tyś powinien opuścić zamek i wyjechać ztąd na czas jakiś.

Młody drgnął, szybkim ruchem zerwał się z siedzenia i przerażonym zapytał głosem:

— Na Boga, ojcze, co się stało? Dlaczego każesz mi uciekać od tych, których od dzieciństwa uczyłeś mnie kochać?.. Jakież przestępstwo, jakąż zbrodnię popełniłem, że ty, rodzony ojciec, skazujesz mnie na wygnanie?...

Stary nauczyciel podniósł się również, a głos zabrzmiał smutniej, lecz i surowiej zarazem, kiedy odrzekł:

— Nie ja cię skazuję na wygnanie — ty sam skażesz się na nie, skoro uważniej w serce swoje spojrzysz. Czyż ty przypuszczasz, że oczy starego ojca oślepły z wiekiem i nie widzą, co się w duszy jego jedynego dziecięcia dzieje? Nie, mój chłopcze, tobie nie wolno być już dzieckiem, tyś człowiek dojrzały i jako od takiego wymagam od ciebie hartu i uczciwości A czyż uczciwem jest względem ciebie samego to błądzenie w zaczarowanem kole nieziszczonych marzeń, czyż uczciwem jest choćby mimowolne rozbudzanie uczuć w sercu tego dziecka czystego i niewinnego jeszcze jak kwiat lilji, czyż uczciwym nareszcie będzie twój stosunek do hrabiego, który zaufał ci jak synowi, a któremu odpłacisz grabieżą jego największego skarbu?

Stary nauczyciel zamilkł Fryderyk siedział z głową ukrytą w dłoniach, a w sercu mu wrzało tysiące uczuć Tak, ojciec miał rację, kochał Laurę całą siłą swego młodego serca, nie zdając sobie nawet sprawy z tych uczuć swoich. Żadnych nie tworzył projektów, żadnych nadziei, kochał tylko i czuł, że to oddalenie będzie czemś strasznem, przed czem wzdrygała się jego młoda dusza To też po chwili szepnął nieśmiało:

— Ojcze, a gdyby ona mnie kochała?...

Lecz stary podniósł rękę, a głos jego zabrzmiał groźnie nieledwie:

— Wtedy to, co dziś jest tylko nieszczęściem, byłoby zbrodnią Zapominasz o przepaści, jaka dzieli ciebie, syna biednego wiejskiego nauczyciela, od pięknej i bogatej hrabianki. Zapominasz, że chcąc przebyć tę przepaść, musisz w nią złożyć wszystko, co człowiek ma najdroższego. Całą swoją dumę i godność, całe poczucie swojej wartości, całą może nawet miłość synowską

Fryderyk milczał, słowa ojca jak kamień spadały mu na serce, lecz czuł całą ich prawdę. Wiedział, że na tej siwej głowie nie było najmniejszej skazy, że stary ten zgarbiony i wątły człowiek przez życie całe twardo stał przy obowiązku i że pierwszą powinnością syna było iść jego śladem. To też po chwili odjął ręce od zbladłej nagle twarzy i rzekł:

— Wyjadę, ojcze, wyjadę jaknajprędzej...

— Mój chłopcze, mój drogi, biedny chłopcze — zawołał stary nauczyciel i dwie grube łzy spadły na pochyloną głowę młodzieńca.

IV.

Następnego dnia jak zwykle zebrali się wszyscy przy śniadaniu. Janek i Lorcia żartowali wesoło, probując wciągnąć do rozmowy to Fryderyka, to hrabiego lub nauczyciela. Wszyscy trzej jednak siedzieli zamyśleni, machinalnie tylko odpowiadając na zaczepki młodzieży.

W tej chwili nadeszła poczta. Hrabia zabrał się do przeglądania korespondencji, Romaizerowie ojciec i syn zagłębili się w gazetach. Nagle, po przeczytaniu jednego z listów, hrabia zwrócił się do dzieci:

— No, dzieci, szykujcie się do podróży, jedziemy wieczornym pociągiem.

— Dokąd, ojczulku — zapytała Lorcia, podczas, kiedy pozostali spoglądali ze zdziwieniem na hrabiego.

— Ciotka Hilda chora jest bardzo i pragnie was widzieć.

— Czy to daleko, ojczulku, czy długo będziemy jechać — dopytywało dziewczątko, zajęte nowością oczekujących ją wrażeń.

— Do Szwajcarji — brzmiała krótka odpowiedź

Lorcia klasnęła w rączki, a zwracając się do przyjaciela zawołała wesoło:

— Szykuj się, Fryderyku, jedziemy wieczorem.

— Tak, tak, szykuj się — powtórzył Janek, nie mniej od siostry zachwycony podróżą.

Fryderyk zbladł Hrabia, jakby nie słysząc zaprosin dzieci, czytał dalej z zajęciem, tylko stary nauczyciel złożył gazetę i z powagą zwrócił się do dzieweczki.

— Panno Lauro, to być nie może.

— Dla czego? — zapytało dziewczątko z uroczą naiwnością

Lecz Fryderyk już oprzytomniał i rzekł z powagą:

— Dla tego, że i ja mam długą przed sobą drogę i muszę się do niej szykować.

Rodzeństwo spojrzało zdziwione, hrabia podniósł również oczy i wpatrzył się w młodzieńca długiem, badawczem spojrzeniem.

— Tak — ciągnął dalej Fryderyk — czas już pomyśleć o sobie. Studja skończyłem i należy mi pomyśleć o pracy. Chcę jechać w świat szeroki i tam szukać dla siebie miejsca w szeregach armji.

— Jakto, chcesz zostać żołnierzem! — zawołał zdumiony Janek.

— A ty, stary przyjacielu, zgodziłeś się na to? — dorzucił hrabia.

— Fryderyk jest już człowiekiem — odparł nauczyciel — i wie, co robi Ja zgadzam się na wszystko, cokolwiek postanowi, bo wiem, że pragnie dobrze i uczciwie.

— A więc i ja będę żołnierzem! — zawołał Janek z wyrazem silnego przekonania.

— Ty, mój synu, masz inne obowiązki — spokojnie zauważył hrabia. — Na tobie spoczywa w przyszłości opieka nad siostrą i tymi wszystkimi ludźmi, co w dobrach twoich mieszkają. Ale, dzieci, czas się przygotować do drogi, a ty, Fryderyku, chodź ze mną, chciałbym z tobą jeszcze pomówić.

Z temi słowy hrabia skierował się do odosobnionego gabinetu. Młody człowiek podążył za nim.

Tutaj hrabia, wyciągając rękę do młodzieńca, rzekł gorąco:

— Mój drogi chłopcze, widzę, że postanowienie twoje jest niewzruszone, chciałbym jednak ułatwić ci choć trochę tę trudną drogę, jaką obrałeś dla siebie. Posłuchaj mnie, Fryderyku — dodał, widząc nagły gest młodzieńca — nie chcę i nie mogę ofiarowywać ci nic, coby twoją dumę zranić mogło, jako jednak twemu chrzestnemu ojcu, twemu staremu przyjacielowi, wolno mi dać ci dobrą radę. Chodzi mi tylko o to, abyś zapisał się do garnizonu, obozującego obecnie w Pradze, którego dowódcą jest osobisty mój stary przyjaciel, hrabia S. Mając nas za sobą, łatwiej ci będzie przebywać długie i przykre stopnie, wiodące do godności i zaszczytów.

— O panie hrabio! — zawołał młody chłopiec — trudno mi wyrazić słowami całą moją wdzięczność, całą miłość, jaką dla ciebie noszę. Zawsze i wszędzie chcę ci być całe życie posłusznym, o jedno tylko błagam, nie każ mi żyć z tem przekonaniem, że osobista moja wartość jest tak małą, że wszystko, czegokolwiek w życiu dobić się mogę, zawdzięczać będę twojej protekcji i poparciu

— Posłuchaj mnie, Fryderyku...

— Nie, panie hrabio, pozwól mi własną dobijać się pracą. Niech wiem, że wszystko, co zdobędę, moją jest własnością, bo moją pracą, moim potem i mojemi łzami zdobytą. Dzięki za wszystko dobre, jakiego w domu twoim doznałem, nie zapomnę tego nigdy i dopóki to serce bić w piersi mojej nie przestanie, należeć będzie do ciebie, panie hrabio i do twoich

Hrabia podniósł się wzruszony, a przyciągając głowę młodzieńca do piersi, rzekł tylko:

— Idź więc w imię Boże, a pamiętaj, że w każdej chwili czekają cię tutaj trzy wierne serca.

V.

Rok minął. Fryderyk walczył w pierwszych szeregach dzielnych wojowników z pod Custozzy. Jan osiadł w zamku swoich przodków, prowadząc rozległe gospodarstwo, Lorcia zaś pielęgnowała chorego ojca nad górskiem jeziorem Szwajcarji.

Stary Romaizer połączył się z towarzyszką swoją. Rozłąka z synem, niepokój o los jego, podkopały jego wątłe zdrowie i przyspieszyły koniec starego nauczyciela. Wieść o jego śmierci doszła nad jezioro jednocześnie z dziennikami, które podając imiona poległych bohaterów, na pierwszem miejscu umieściły imię Fryderyka Romaizera. Laura, która zwykle czytywała ojcu dzienniki, z głośnym płaczem rzuciła się na jego piersi, jakby ten pierwszy ból za ciężkim był na jej młodziutkie siły.

Hrabia przycisnął dziewczę do piersi i łzy żalu spadły na jej główkę. (Dok. nast).

Z GŁĘBI SYBIRSKIEJ.

PRZEZ

JULIUSZA TURCZYŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Z osłabienia raz po raz kłonił się, lecz musiał się trzymać, aby go nie oddano dla przyjścia do sił do jakiej nory ciemnej, pod ziemią gdzieby tylko sam ze sobą i z własnemi pozostawał myślami.

To samo doświadczali również i jego towarzysze niedoli, z którymi przybył, i których tu zastał. A byli to wygnańcy z nad Wisły, z nad Bugu, silni niegdyś i zdrowi, jak sosny borów ojczystych, kiedy jeszcze odbywali mustry na Saskim placu, zanim ich po powstaniu listopadowem na Sybir zawleczono; byli również i inni, ze spisków niedawnych Konarskiego, to księdza Ściegennego. Przebywali tu jeszcze i dekabryści rosyjscy ze spisku Mikołajowskiego, a nawet i potomkowie mołodców z nad Dniepru i Dońca, marzący o sławie Mazepy a Pugaczewa. Wszyscy oni dziś znękani, wynędzniali — ruiny tylko dawnych ludzi.

I bojownicy, walczący niegdyś w imię idei, muszą dziś wieść posępny żywot w hucie katorżnej wraz z przestępcami z nad Wołgi i Oki, których wyroki sądowe posłały tu za zbrodnie pospolite, za morderstwa i rabunki. A nawet lepiej bywał traktowany czynownik-skazaniec, posłany za kradzież i oszustwa pospolitego rodzaju, niżeli ludzie, co nie rabowali, ani okradali drugich, lecz życie swoje za nich kładli. Bo gdy kapitan i major, okradający Skarb i własnych żołnierzy, lekarz pułkowy, tyjący na koszt chorych, sprawnik, wysysający powierzony sobie powiat — zostawali tu za karę na urzędzie, jako tylko zdegradowani, ale mimo to dzierżący jeszcze władzę: ludzie, żyjący zawsze dla idei i za nią aż tu zagnani, wiedli dziś jeno życie dręczonych i deptanych.

Nuchim nie działał wprawdzie dla idei, nie żył nigdy życiem publicznem, i nie za sprawę wielką, publiczną, dziś jest w tem miejscu, ale on zawsze zaszedł tutaj za miłość swoją, miłość świętą ku dziecku, którego nie chciał porzucić na pastwę despotyzmu. I dzisiaj on musi dźwigać tę samą dolę, co inni, odważający się na śmielsze zamiary.

I tak dzień w dzień budził się nieszczęsny w ciemnej, ociekającej wilgocią norze swojej, aby iść do roboty niewolniczej w hucie, wystawiony na żar spiekoty, wieczorem zaś wracał, a wtedy snuły mu się ciągle przed zbolałemi oczyma czarne plamy w przestrzeni, które biegały tu i tam, mieniły się ciągle go prześladując. Na noc zdejmowano wprawdzie z niego okowy, ale plam tych czarnych uparcie się zjawiających, ani myśli czarniejszych nikt z niego zdjąć nie mógł. Gdy zupełnie osłabion padł na tap

czan, słyszał jeszcze ciągle głuchy ten, ponury, syk żarzących się węgli.

Po niejakim czasie zaczynał już nawet chwilami miewać przywidzenia, dręczące schorowany jego umysł. Wtedy mu się nieraz zdawało, jak gdyby burza ruszała się na dworze, straszna, syberyjska, to znowu jakby gromy gęste waliły w ściany, a zdaleka dochodził głuchy odgłos piorunów, kiedy na dworze straszna w on czas była nawet cisza i i martwota w przyrodzie. Innym znów razem zdawało mu się w nocy, że zgiełk jakiś nastał i roje wojska poczęły zapełniać całą przestrzeń z hutą i jej budowlami — gdy wtedy wszystko spało, a tylko w piecach jednych hutniczych gorzały ognie i po cichu gwarzyły gasnące w piecach żary. Ludzie zaś przy nich poruszali się, milczący, senni, a tylko gwar był głośniejszy w izbach czynowników, grających w karty i kłócących się o wygraną.

Więzień nasz często noc całą nie zmrużył nawet oka, znękany i zbity wrażeniami dnia całego, albo też zasypiając ciągle się budził, nie wiedząc, czy już ranek na dworze, czyli jeszcze północ. Czasami zdawało mu się, iż widzi na prawdę żonę swoją, którą również przywleczono do huty, zakutą w okowy, a wtedy zrywał się przerażony, wołając, iż ona niewinna; obudzony zaś rad był, że to sen tylko, i ona, tak dziś słaba, zapewne i zbiedzona, przynajmniej choć sama nie potrzebuje dźwigać tu żelaza, poniewierana, podobnie jak mąż, w hucie.

Chwilami długo rozbierał w myśli, gdzie też ona ninie być może? Czyli tam w Czycie, w mieszkaniu jego dawnem, pasując się z dolą swoją ciężką — czy poszła szukać syna? A może już się znaleźli oboje, matka z synem? Ale ojciec tutaj? I nie chcą go puścić! Dlaczego nie chcą go puścić? Jakie mają oni do tego prawo?

Tak bijąc się z myślami, padał bezsilny.

XXIII.

Ale daremne twoje marzenia, nieszczęśliwy ojcze! Żona twoja ani jest w Czycie, ani też ze synem — ona ciągle jeszcze dręczy się w Irkucku, sama jedna, przy pomocy tylko litościwych ludzi, wiodąc nędzny żywot. Mimo to nie chce porzucić miasta, w którego warowni syn jej przebywa, dla niej niewidzialny.

Lecz ona o tem nie chce wiedzieć, zawsze ma jeszcze nadzieję, iż go zobaczy i wpłynie na dolę jego. Ze łzami błagani wojskowi i ich komendant nie mieli litości dla sierocej matki i żony, ale dziś ona podała prośbę do cara wzywając jego łaski. Prośba już pocztą odeszła. Wszak car prośby nieszczęśliwych przyjmuje? Car nie może być tak srogim, żeby chciał na zawsze zabić jej dziecko? Nie, to niepodobna! On o tem nie wie. Ale gdy się dowie, co słudzy jego robią, to każe im oddać co matce zabrali. Wszak car musi mieć własne dzieci? Żeby tylko mąż wyszedł z więzienia! Wówczas i ona wróci do zdrowia i do dawnej siły. Lecz czemu on na listy jej nie odpowiada? Po pierwszym przecież wysłała drugi list? Ale i na ten nie ma dotychczas żadnej odpowiedzi. Może mu nie oddano? Bo mówią tutaj, że tym, którzy w więzieniu, do rąk ich nie dają? Ależ gdy komendant więzienia, przeczytawszy, pozna, że tam nie ma nic złego, żadnego w liście podstępu, aby go na nich podburzyć to przecież wtedy odda? Czemużby nie miał oddać? Wszak Nuchim już i tak wkrótce wyjdzie z więzienia? A gdy wróci — pozna, że żona jego daremnie nie siedziała — ona pieszo przywędrowała z Czyty aż tu do Irkucka, czyniąc, jakie mogła zabiegi o syna.

Długo też czekała nieszczęśliwa matka na skutek swej prośby. Mijały jednak dnie, mijały miesiące, a żadna nie nadchodziła odpowiedź.

Większa część znajomych jej dziś nowych zdawała się jej wyperswadować, że car próśb tych ani czyta, że one raczej gdzieś giną w kancelarjach czynowników, a jeśliby on dostał kiedy co w ręce, ukarałby jeszcze tych, co mu prośbę przedłożyli o oddanie żołnierza. On bowiem strasznie ma być groźnym. Kiedy rozkazuje, wówczas tysiące ludzi do ziemi się korzą — a jeśli się gniewa, tysiące bledną z trwogi. Lecz tu nie o żołnierza chodzi, jeno o dziecko, które jeszcze nie jest żołnierzem? Na co carowi takich żołnierzy?

I gdy tak biedna matka czekała na wynik zabiegów swoich — usłyszała dnia pewnego, iż niedawno temu któregoś ranka o świcie wyjeżdżać miał z twierdzy szereg wozów pod konwojem kozaków. Mówiono, że tam była na nich w mundurach młodzież. Może ich wysyłano w inne strony? Matka mocno się zatrwożyła, bo tam między nimi mógł być i jej syn, a wtedy jużby go ona nigdy nie zobaczyła.

Zaniepokojona, starała się prawdy wywiedzieć. Było to niełatwem, gdyż wstęp do twierdzy wzbroniony. Jednak oficerowie i podoficerowie z twierdzy pokazywali się w mieście, mając różne stosunki z kupiectwem moskiewskiem, ale i żydowskiem. W skutek tego, nieszczęsna matka wkrótce całej prawdy się dowiedziała, mianowicie, że syna jej dawno już

nie ma w warowni. Dokąd zaś go powieźli, nie wiedzieć, gdyż młodzież, ćwiczona dla wojska, ma również stopnie swoje i klasy. Jednych ćwiczą na podoficerów, ale większą część tresują na szeregowców. Bo nie tylko przyjmują tam dzieci popów i czynowników w skutek protekcji, ale zabierają poniewoli potomstwo Burjatów, Tatarów, jak i dzieci żydowskie. Z tych nie będą robili kadrów? Zrazu jeszcze młodsze trzymane są razem, potem ich dzielą. Prócz tego inne są szkoły w twierdzy irkuckiej, a inne w Krasnojarsku lub Tomsku, ale największa być ma, daleko, w straszliwej twierdzy omskiej. Tak tłómaczyli rzecz tę podoficerowie, z którymi znosili się współwyznawcy nieszczęsnej matki. Nie mogła ona nawet wyrozumieć całej tej organizacji a manipulacji wojskowej, wiedziała tylko tyle, że już nie zobaczy syna. Nie jej bowiem dziś siły, ażeby mogła dopaść go i wyrwać z rąk, które go porwały jak w kleszcze. Kiedy szła z Czyty, choć przy niemałem jeno wysileniu i z narażeniem życia, mogła dojść do miasta, w którem dziś pozostaje żebraczką. Atoli dzisiaj? Dziś ona jest w takim stanie, iż uszedłszy zaledwo kroków kilkanaście, przystawać nawet musi. aby tchu nabrać. Kaszel jej nie opuszcza, lecz nie ten ostry, zapalny, który męczy chorego, ale i ustaje, lecz taki, który jest znakiem, że tam już płuc nie ma. Dzień w dzień była już w gorączce trawiącej, choć ani ona sama jej nie miarkowała, ani ci, co koło niej się znajdowali. Mówiła nawet, że jej nic wcale teraz w piersiach nie boli. Nawet jej się zdawało, iż wiele jeszcze przetrwać może. Wierzyła przeto, że skoro mąż tylko powróci z więzienia, wówczas oboje pójdą choćby do samego cara. Car może być głuchy na prośby piśmienne, które do niego mogą dochodzić, a mogą i nie dochodzić — ale, gdy sam, na własne oczy, zobaczy rozpacz ojca i matki, wtedy da się przebłagać. A Nuchim — to przecież nie ona sama? Co mężczyzna toć nie kobieta. Nuchim znajdzie sposób, aby się dostać tam, gdzie potrzeba. Wszak wróci już wkrótce? Czas przecież skończył się jego kary? Żeby teraz jak jeszcze ciągnęli tam z wypuszczeniem więźnia, zawsze już długo potrwać to nie może?

Tak pocieszała się kobieta. Atoli wypadki ostatnie, zabiegi chorej, w celu dowiedzenia się, czy syn jest jeszcze w twierdzy, wieść nareszcie, że jego już tam nie ma — wstrzęsły już mocno nadwątlonym organizmem, i coraz częściej przychodziły już wybuchy krwi.

Gdy jednak przeszły, kobieta widziała tylko, że one jej nie zabiły — i że ona żyje jeszcze, jako dawniej, tylko że oddech miewa dziś krótszy a cichszy kaszel — ale nic jej w wnętrzu nie boli.

Dzień w dzień stawała się cierpliwszą. coraz mniej się skarżąc, zawsze bardzo cicha i bardzo łagodna... nareszcie razu pewnego, w jasny dzień przy obecnych usiadłszy, zasnęła, jak zwykle, spokojnie.

Ale już jej tym razem nie obudzono.

XXIV.

Mąż tymczasem, tyle razy zmuszony zmieniać miejsca poniewolne, ani wiedział, że jej już nie ma na świecie. A ktoby o tem miał donosić? Że tam kobieta jakaś, uboga, nieszczęśliwa, zmarła w Irkucku — tego w mieście onem nawet nie zauważano. Bo coby tam kogo obchodzić to mogło? Współwyznawcy byli zaś zanadto zajęci sprawami swojemi, to współzawodnictwem handlowem, z możniejszem od siebie, lecz nie mniej sprytnym a chciwem kupiectwem miejscowej rasy, ażeby się kobietą po skonie jej jeszcze zajmować mieli. No. skoro już nie ma jej na świecie. w takim razie nie ma tu i spraw żadnych. A on? a mąż? Ten, kiedy wróci, będzie miał dość czasu o tem się dowiedzieć. I ktoby się tam narażał, żeby zaglądać do katorg? Kiedy się nawet jedzie obok miejsca, w którem czernią się więzienia, ostrogi, żyd każdy odwraca się z obawą usiłując nie patrzeć, aby go się jeszcze co nie czepiło. Na tej bowiem ziemi sybirskiej trzeba wielu rzeczy unikać, więcej jeszcze wycierpieć, a przez niejedno nawet prześliznąć się: wówczas i żyd może żyć w sybirskiej atmosferze, a czasem nawet dostać i despotów tutejszych do żydowskiej kieszeni, choćby pomniejszych.

Tak sądzili współwyznawcy, wcale nie ciekawi, kiedy Nuchim wyjdzie z więzienia.

Tymczasem przechodziły skazańcowi dni po dniach, miesiące po miesiącach, koło pieców huty piotrowskiej. Żar tlejących bez przerwy węgli i rudy rozczerwienionej palił w lice nieszczęsnego, swąd węglowy i zagar obejmował mózg, tak, że się chwilami za głowę chwytał, czując ból świdrujący: zdawało mu się, że ją ból ten rozsadzi. Z bolu jęczał i płakał często z wielką gwałtownością, strasznie rozdrażniony. Dozorcy huty i pilnujące nastawniki wcale na to nie zważali. To znowu bywały chwile. w których stawał się obojętnym na wszystko, nic nie widząc, ani słysząc. W nocy zaś zrywał się, wołając, że go coś nachodzi, on to na własne oczy widzi. A gdy go towarzysze niedoli zapewniali, iż w celi nie ma nikogo, był mimo to pewnym, że go zło-

śliwe jakieś widma raz po raz nachodzą, jakby się z nim droczyły. Czasami znów przesiedział na tapczanie większą część nocy, bojąc się na chwilę położyć, bo gdy zasypia, zaraz się coś jawi, budzi go, i znika śmiejąc się złośliwie, a skoro chce nazad zasnąć, złe z uporem powraca.

W innych znów nocach zdawało mu się, że widzi pełno żaru do koła. Wtedy wołał na głos, że się pali, że cała katorga w płomieniach.

Trwało to nocy kilka. Potem miewał dalsze nocy spokojniejsze, w których zasypiał twardo — a kiedy wstał rano, zabierał się spokojnie do roboty.

Zdawało się nawet, jakby się pojednał z fatalizmem doli swojej, tak samo zgnębiony tylko i posępny. Wtedy z cichą skargą wspominał o swoich. Liczył jednak ciągle, ile to czasu przeszło, w którym wyrość musiał syn jego...

To znowu napadała go chęć nie do wykonania, ażeby mógł uciec z katorgi: wówczas bowiem mógł żyć jeszcze. Przecież nie jest sam jeden na świecie? Ma żonę, która dziś z obawą o niego ciągle czeka i dręczy się, ma syna, który dziś narzeka, iż mu Bóg dał ojca — a ojciec go opuścił. Ale teraz, jeśliby on ojca tego zobaczył, i poznał, że żyje i o dziecku swojem nie zapomniał? Ach, gdyby taka nadeszła chwila!...

W myśli sobie nieraz nawet wystawiał, jakby już się obaj zeszli na prawdę. Wtedy widział go na własne oczy, w wyobraźni rozognionej. Lecz gdy spojrzał dokoła siebie, spuścił tylko głowę, rozpaczliwym myślom oddany.

XXV.

Dni po dniach przechodziły — lata po latach, a Nuchim ciągle był w hucie tej samej, katorżnej. Wielu towarzyszy legło tymczasem na cmentarzu niedalekim, bardzo samotnym, na tej pustoszy — a więzień nasz żył jeszcze. Choć nie liczył jeszcze lat tylu, mimo to włos jego, dawniej czarny, zupełnie dziś pobielał, oczy mu zapadły, twarz była cała staremi poorana zmarszczkami. Czasem zaś popatrzył na otaczających go takim wzrokiem, że ci musieli się odwrócić, nie mogąc wytrzymać wzroku tego To znów trafiało się, że zapadał, jakby w sen na jawie, nic nie widząc, nic nie słysząc, co się koło niego działo: zupełnie nieprzytomny. Trwało to chwil parę, potem przychodził do siebie, lecz nic z tego nie pamiętał.

Tak przechodziły nowe dni po dniach, lata po latach. Ponieważ inni więźniowie zawsze się jednako zachowywali — a katorżnicy pospolici nawet byli oswojeni z położeniem swojem, nie myśląc wcale o żadnej ucieczce, gdy w dniach wolniejszych pili i grywali w karty z górnikami, to z dozorcami swymi, zgrywani i zgrywający: nie pilnowano ich teraz tak ściśle. Mniej się ich nawet obawiano.

Dnia pewnego wypadło święto Spasa. Po dłuższej odprawie, dla której sprowadzono popa, zabrano się popołudniu do kart i samowarów. Lała się wódka i dymiły samowary. Nie tylko urzędnicy częstowali się nad miarę, lecz i górnicy byli dobrze spici. Dozorcy pijani — służba pijana — nawet i pilnujących kozaków za hojnie potraktowano. Czynownicy hałasowali i pili, inni kłócili się przy kartach, nieprzytomni wrzeszcząc i bredząc tylko — w późną noc większa połowa przy stołach chrapała.

W takiem zamieszaniu udało się niektórym skazańcom wyjść po za obejście mniej strzeżone. Nuchim, nie spuszczając tych z oka, postępował również z daleka za nimi, ostrożnie, oddech przytrzymując a rozglądając się na wszystkie strony.

Nareszcie zobaczyli się razem ci, co wyszli, na miejscu bezpiecznym.

Spostrzegłszy Nuchima, zatrwożyli się drudzy, nie wierząc, iżby on mógł z nimi razem uchodzić. Lecz on cały przestraszony, dygocący, błagał ich, i zaklinał, że pójdzie wraz z nimi, zapewniając, iż we wszystkiem zastosuje się do nich, a czuje w sobie dosyć siły aby wytrwać.

I w samej rzeczy, kiedy oni przemykali się jarami, to spadzistemi stoki, po nocy dzisiejszej, księżycowej, Nuchim okazał teraz jakąś gorączkową siłę, w obawie, żeby go nie pozostawiono.

Z niemałem wysileniem, przez całą noc drapali się oni razem po dzikich wertepach przedzierając przez gąszcze głogów i tarniny, ażeby tej samej jeszcze nocy jak najwięcej ujść drogi, zanim się dozorcy ich rano nie przebudzą, a otrzeźwieni nie zmiarkują, że kilkunastu więźniów brakuje.

Mocno pomęczeni musieli nad rankiem spocząć — w gąszczy większej lasowej — pewni, że już ich nie dobiegną tutaj piesi, a dla konnych nie ma drogi.

Po paru godzinach wstawszy, przemykali się znów ostrożnie. Nuchimowi ninie, jak gdyby przybyło sił i zdrowia. Zdało się, jak gdyby świeże powietrze ożywiło skazańca, świeższej mu krwi dodawszy.

Droga wypadała im stokami zarosłymi sośniną, to modrzewiem, miejscami bielały brzozy. Czasami nadybali cedr sybirski, a wtedy próbowali zerwać nieco jego orzechów, choć zielonych, ażeby choć dzień jeden wytrzymać; wiedzieć jednak nie mogą

czy tu natrafią na jaką chatę lub szałas, w którym danoby im nieco pożywienia i gdzieby mogli być bezpiecznymi.

Następny dzień był dla nich bardziej uciążliwym. Wypadało się im o głodzie przedzierać przez gąszcze zarosłe głogiem, to tarniną — a gdy schodzili w wądoły, mokre, sapowate, musieli brodzić po wodzie, szarzejącej mchem i porostami, to przedzierać się przez zielsko błotne, albo gąszcz łoziny.

Gramoląc się z natężeniem, upadając i dźwigając się na zbocze poszarpane, osłabieni i zgłodzeni ujrzeli parę krów i owiec pasących się samopas... domyślali się, że tu w pobliżu może będzie szałas...

I nie omylili się. To ich wyratowało, bo dalej dźwigać się już nie byli w stanie. Nuchim, z wielkim jeno wysiłkiem, raz po raz upadając, mógł za nimi podążać.

Nareszcie pokazał się szałas... Weszli do środka... A że było ich kilkunastu, siedzący tamże Burjat w kożuchu wywróconym popatrzył zalękniony, kobieta zaś i dzieci jego, bardziej od ojca czarne, osmalone, miały ochotę uciekać... Wygnańcy jednak czemprędzej dali im do poznania, że nie są wcale brodjagami*) ani też przyszli w złej myśli, proszą jeno o nieco posiłku, a kiedy wypoczną, nazajutrz dalej podążą.

Dano im z obawą nieco mleka i dobrze już cuchnącego mięsa.

Wygnańcy zatem, posiliwszy się nieco, a nie myśląc w ciasnym, pełnym brudu i zaduchy kłaść się szałasie, wyszli na dwór, i tam się pokładli. Niektórzy z nich, wnet usnąwszy, spali jak zabici, inni zaś z wielkiego umęczenia nie mogąc zasnąć, wypoczywali tylko, jak można było. Na drugi dzień pożywili się nieco podanem im mlekiem i plackiem twardym, jakby drewno — i pociągnęli dalej.

Lecz po chwili musieli doświadczyć, że im sił zabrakło, musieli przeto znowu spocząć. (Dok. nast.)

JESIEŃ.

Przez

GUSTAWA DROZA.

(Z francuskiego)

Czy znasz jesień, kochany czytelniku — jesień pośród szerokich pól, z jej nawałnicami, wichrami, żółtemi liśćmi, wirującemi w powietrzu, ze ścieżkami rozmiękczonemi wilgocią, z zachodami słońca blademi, jak uśmiech chorego, z kałużami pełnemi wody po drogach? czy znasz to wszystko?

Jeżeli widziałeś wszystkie te rzeczy, nie mogłeś pozostać obojętnym. Nienawidzi się ich, lub kocha bez upamiętania.

Należę do tych, którzy je kochają, i oddałbym dwa lata za jedną jesień. Lubię zasiąść przed ogniem z psem pomiędzy kolanami i wpatrywać się w płomienie, liżące starą żelazną kratę i rozświecające ciemne głębie. Słychać wiatr przebiegający pomimo szumu lasu, który pomrukuje, gnąc grzbiet, można rozróżnić ponure krakanie stada wron, walczących z burzą. Deszcz siecze małe szyby; myślę o tych co teraz są na dworze, i przysuwam nogi do ognia. Przypomina mi się doktor, powożący się w małym kabrjolecie. Jego płaszcz ulatuje z wiatrem, koła kabrjoletu grzęzną w błocie, a stara klacz rży, idąc pod wiatr. Myślę o dwóch żandarmach z których kapeluszy leje się woda; widzę ich zmoczonych, zgarbionych, jadących ścieżką między winnicami na koniach, z których spadają ich niebieskie płaszcze. Myślę o spóźnionym myśliwym, biegnącym przez zarośla, którego ściga burza, jak kara zbrodniarza, i nawołującego psa, biedne zwierzę, brodzące w bagnach.

Biedny doktor, biedni żandarmi, biedny myśliwy!

Nagle drzwi otwierają się i malec wpada z okrzykiem.

— Kochany ojcze obiad podano!

Biedny doktor, biedni żandarmi!..

— Co jest na obiad?

---

*) Brodjaga, zbrodniarz pospolity, uciekły z katorgi, a włócząc się rozbijający po drodze.

Obrus biały, jak śnieg w grudniu, serwis błyszczy przy świetle lampy, dym z zupy zbiera się pod abażurem i przysłania światło, a jednocześnie rozchodzi się apetyczny zapach kapusty.

Biedny doktor, biedni żandarmi!...

Drzwi pozamykane, rolety szczelnie zasłonione. Malec drapie się na krzesło, wyciąga szyję, by mu zawiązano serwetę, i woła nieustannie, machając rękoma w powietrzu:

— Doskonała zupa z kapusty!

Uśmiecham się mimowoli sam do siebie i mówię:

— Ten smarkacz ma mój gust.

Mama zjawia się w tej chwili cała rozpromieniona i, zdejmując rękawiczki, mówi.

— Jest dziś coś, mój panie, co lubisz.

Jest to dzień, w którym u nas bywa bażant.

Instynktownie odwracam głowę, by zobaczyć, czy stoi na kredensie omszała butelka starego szambertyna.

Bażant i szambertyn! Opatrzność stworzyła te dwie rzeczy dla siebie i moja żona nigdy ich nie rozdziela.

— Moje dzieci! jak tu u nas dobrze! — wołam, śmiejąc się z całego serca.

Wszyscy śmieją się wraz ze mną

Biedni żandarmi! Biedny doktor!...

Tak.. lubię bardzo jesień, a mój malec ukochany lubi ją niemniej ode mnie i nie dla samej przyjemności wygrzewania się przy dobrym ogniu, lecz dla jej nawalnic, wichrów i zeschłych liści. Jest w tem wszystkiem odrębny urok...

Ileż razy we dwóch przechadzaliśmy się po polach, pomimo zimna i groźnych chmur!

Byliśmy obaj dobrze odziani i w dużych butach.

Brałem go za rękę i puszczaliśmy się na przygody. Miał wówczas zaledwie lat pięć, a stąpał, jak dorosły. Wielki Boże temu już jest lat dwadzieścia pięć!

Szliśmy wąską drożyną, posypaną liśćmi wilgotnemi i zczerniałemi. Przez wysokie topole, nagie i szarawe, przezierał horyzont i widzieliśmy zdaleka pod niebieskiem niebem, mającem po krańcach odcień żółtawy, pochyłe dachy chat i czerwone kominy, z których wydobywały się szare strugi dymu, a wicher rozganiał je, jak warjat. Malec skakał z radości, przytrzymując ręką kapelusz, który miał ochotę ulecić w powietrze, i patrzył na mnie oczętami, błyszczącemi od łez. Jego policzki były czerwone od zimna, ale mimo to szedł ucieszony wielce obok mnie po wilgotnej łące, po której płynęła powiększona wylewem rzeczka. Nie ma już róż, nenufarów, ani kwiecia nadbrzeżnego! Kilka krów brodzi w wilgotnej trawie i pasie się spokojnie.

W rowie pod wielką wierzbą dwie dziewczynki, przyciśnięte do siebie, siedzą okryte jednym dużym płaszczem. Pilnują swych krów. Ich nogi na pół obnażone w zniszczonych sabotach, a małe, zdrętwiałe z zimna twarzyczki wyglądają z pod wielkich kapturów.

Kiedy szeroka kałuża wody, w której odbijało się blade niebo, przegradzała drogę i przez chwilę zatrzymywaliśmy się na brzegu tego zaimprowizowanego jeziora a drżąc od wiatru północnego, przypatrywaliśmy się żegludze zeschłych liści. Były to już ostatnie... Widzieliśmy, jak odrywały się z wierzchołków wysokich drzew, krążyły w powietrzu i wpadały w kałużę. Brałem mego małego towarzysza na ręce i z biedą przeprawialiśmy się na drugi brzeg. Na krańcach pól pustych i pożółkłych było widać tu i owdzie przewrócony pług lub bronę pozostawioną tam wypadkiem.

Przypominam sobie, jak pewnego dnia w jednej z takich wycieczek jesiennych doszliśmy drogą, wiodącą przez zarośla do starego mostu, na wierzch pagórka. Nagle zaczął dąć gwałtowny wicher. Mój mały zadyszany chwycił się mego kolana i schronił się pod połę paletota! Pies ze swej strony schował ogon pod siebie, nastawił uszy i, opierając się mocno na łapach spoglądał na mnie z uwagą.

Obejrzałem się. Horyzont był ciemny, jak głębie piwnicy. Olbrzymia chmura czarna zbliżała się ku nam i ze wszystkich stron, drzewa zaczęły się giąć pod potokami deszczu. Zaledwie miałem czas wziąć na ręce chłopczyka, który zaczął płakać, i ulokowałem się z nim pod wierzbą, dającą jakie takie schronienie. Otworzyłem parasol, rozpiąłem paltot i owinąłem niem malca. Pies położył się u nóg. I malec, tak zabezpieczony przez dwóch przyjaciół, zaczął się uśmiechać w głębi swej kryjówki. Dostrzegłem to przez otwór i zapytałem:

— Jak się masz, mój mały?

— Doskonale, ojcze kochany!

I uczułem, jak obejmował mnie swemi rączkami. Był wdzięczny, iż służyłem mu za dach.

Przez otwór wychylił twarzyczkę i przycisnął swe usta do moich.

— Czy tam na dworze jeszcze deszcz pada? zapytał.

— Ustaje, mój mały!

— Jaka szkoda! tak mi było dobrze.

Jak to wszystko zostaje w pamięci?

Może opowiadanie o tych drobnych szczęściach to dziecińśtwo z mej strony, lecz jak słodkiem jest wspomnienie o nich!

Wróciliśmy do domu zabłoceni, jak pudle, i zostaliśmy srodze wyłajani. Ale gdy nadszedł wieczór i malec położył się do łóżka, a ja poszedłem go pocałować i popieścić trochę — bo to było naszym zwyczajem — on objął mą szyję rączkami i rzekł do ucha:

— Jeszcze kiedy pójdziemy w deszcz — nie prawdaż?

MIŁOŚĆ SUŁTANKI.

(Dokończenie)

Tak postanowiono lecz okoliczności znowu inny obrót nadały całemu projektowi podróży Ali-beja. Sheriffeh, która chociaż nie czyniła wyrzutów nikomu, niemniej w głębi duszy przekonana, że jedynie dzięki niewczesnym radom oraz wmieszaniu się obcych ściągnęła na siebie nieszczęście, rzuciła się ojcu do nóg, błagając aby i jej jechać pozwolił. Wiedziała wprawdzie, że sułtance nie wypada podróżować w skromnym orszaku lecz i na to znalazła radę. Oto w stroju chłopca w towarzystwie równie przebranej niewolnicy oraz dwóch wiernych dozorców nie zwróci niczyjej uwagi. Ali-bej będzie czuwał nad losami małej drużyny, a pod jego opieką, nic złego spotkać ją nie może.

Padyszach w pierwszej chwili zdumiał się do tego stopnia, że wypuścił cybuch z ręki, następnie nazwał córkę wyrodnem dzieckiem wreszcie na widok łez, staczających się po bladej twarzyczce Sheriffeh, ustąpił

Po długiej i szybkiej jeździe, którą księżniczka zniosła z zadziwiającą siłą, podróżni nasi zatrzymali się w małej mieścinie odległej ledwie na parę staj od rezydencji beja. Ali-bej nakreślił już z góry plan działania. Sheriffeh a raczej Sadyk Effendi pojedzie dalej sam i odda władcy Karamanu list Ali-beja, polecający rzekomego Sadyka względom wielkorządcy.

„Sadyk Effendi - tak brzmiały słowa listu — jest wprawdzie pacholęciem, lecz jego dostojna rodzina pragnie, by od najwcześniejszych lat sposobił się do służby państwa. Najpotężniejszy padyszach osądził, że chłopiec nigdzie nie skorzysta tyle co u was beju, którego mądrość jaśniejsza niż gwiazdy i t. d.“

Nic dziwnego, że skutkiem równie pochlebnego listu skreślonego dłonią pierwszego dostojnika, śliczny Sadyk Effendi został przyjęty z otwartemi rękami.

Dostojny bej, pragnąc wywiązać się jak najlepiej z włożonego nań obowiązku przeznaczył chłopca do pomocy sekretarzowi swojemu Ibrahimowi. Takim to fortelem Sheriffeh postawiła na swojem, to jest przestawała niemal całe dnie z ukochanym małżonkiem (nim bo wiem był ów wiecznie milczący i zamyślony młodzieniec). Murad, rzecz prosta, niemógł poznać w postaci wdzięcznego pacholęcia wzgardzonej małżonki, ponieważ nie widział nigdy jej oblicza.

Tymczasem polubił szczerze młodziutkiego towarzysza. Sheriffeh, którą niedola uczyniła nad wiek ostrożną i niedowierzającą, usiłowała wszelkiemi sposobami nietylko przywiązać do siebie, lecz zasłużyć na zaufanie Murada.

W parę tygodni po przybyciu do Karamanu, kiedy już doszli do pewnej zażyłości, Sheriffeh podczas jednej ze zwykłych przechadzek w ogrodach beja rzekła:

— Wybacz, Effendi że zadam jedno pytanie.

Względy, jakie okazujesz niegodnemu usprawiedliwią mą śmiałość. Jesteś niemym od urodzenia, czy też stałeś się nim w skutek nieszczęśliwego wypadku?

Murad sięgnął ręką i wyrwawszy rosnącą nieopodal trzcinę nakreślił na piasku:

„Nieszczęście pozbawiło mnie mowy“ a następnie widząc, że usta Sheriffeh drżą a oczy płoną ciekawością dowiedzenia się bliższych szczegółów dodał: „Na proroka, nie pytaj nigdy o nic, bo w przeciwnym razie, nawet twój widok będzie mi nie miłym“.

Sheriffeh przysięgła, że odtąd nie zada żadnego pytania, natomiast kiedy niekiedy potrącała o rzeczy przywodzące mu na myśl obrazy z przeszłości. Mówiła o majestatycznym widoku, jaki tam w Stambule roztacza się z wieży Seraju, o cichych falach Bosforu... o tem, jak słodko kołysać się na nich... Stopniowo nabierając odwagi, powtarzała rozmaite krążące wśród dworzan pogłoski a więc o nieszczęściu i rozpaczy księżniczki, o ciężkiej z tego powodu trosce sułtana. Lecz Murad słuchał wieści tych z tak kamienną twarzą tak mało okazał zajęcia dla przeznaczonych mu, w razie gdyby powrócił godności, że biedna Sheriffeh teraz dopiero poznała, o ile ten jeden człowiek wyróżnia się z tysiąca innych, znanych jej dotychczas ludzi.

Dostojny bej Karamanu, zdziwił się niezmiernie, kiedy pewnego razu cichy, pracowity i nie uganiający się za rozrywkami Sadyk Effendi przyszedł do niego i ni z tąd ni z owąd prosił o pozwolenie na krótką trzydniową wycieczkę, którą wraz z Ibrahimem odbyć zamierzał.

Projekt ten niespodobał się bejowi. W podejrzliwym jego umyśle zrodziło się pytanie, czy Ibrahim i Sadyk Effendi nie knują zdrady i czy owa wycieczka nie zmieni się w ucieczkę do którego z wrogich sąsiednich władców. Wprawdzie obaj młodzieńcy byli jego ulubieńcami i bej zgoła nie wiedział jakie powody mogłyby ich skłonić do tak haniebnego kroku, lecz wmówił w siebie, że ostrożność nie zawadzi.

— O co ci właściwie chodzi? — zapytał topiąc przenikliwy wzrok w oblicze Sheriffeh. Przecież nie o towarzystwo Ibrahima, bo jesteście razem, a skały Taurusu także nie warte tego zachodu. Przysiągłbym, że masz coś złego na myśli.

— Nic złego, chciejcie wierzyć panie!

— Otóż nie uwierzę i nie pozwolę dopóki nie powiesz właściwego celu przejażdżki.

Sadyk Effendi spuścił wzrok ku ziemi i spiesznie mówić zaczął.

— Powiem już wszystko panie. Widzę że przenikliwość twoja szybsza od strzały w locie. Jedną tylko prośbę zaniosę do ciebie. Otóż błagam, ażeby nikt, a przedewszystkiem Ibrahim, nie domyślał się naszej rozmowy.

— To ci przyrzekam.

— A zatem... boli mnie nieszczęście przyjaciela i chcę spróbować ażali nie uda się przywrócić mu mowy.

W okolicach Taurusu mieszkały istotnie wiedźmy, trudniące się rzucaniem oraz zamawianiem uroków, przyrządzaniem napojów miłosnych i tym podobnemi gusłami, odpowiedź więc Sadyka mogła być szczerą.

Ponieważ jednak dostojny bej, lubił od czasu do czasu zaznaczyć swą władzę, a dalej zachęcony pochlebną wzmianką Sheriffeh, chciał dowieść poraz drugi, że istotnie posiada ową przenikliwość, zmarszczył brwi i udając gniew, którego nie czuł wcale, rzekł groźnym głosem.

— Dobrze więc, zgadzam się ale pod jednym warunkiem. Przekonasz się, że beja Karamanu nikt jeszcze nie wywiódł w pole. Jeżeli po upływie trzech dni Ibrahim nie odzyska mowy... wtedy będziesz poczytany za kłamcę i oszusta i jako taki otrzymasz czterdzieści razów w pięty. Cóż? Nie zmieniłeś jeszcze zamiaru! Obstajesz przy swej prośbie?

— Z pozwoleniem waszej dostojności obstaję, brzmiała cicha odpowiedź.

— Jedźcie więc w spokoju i niech ci Ałłach dopomaga.

Murad Ibrahim choć nie wiedział dotąd o projekcie Sadyka zgodził się nań chętnie. Z rozkazu hojnego beja, dwóch ludzi wiodących parę luźnych koni oraz dwa muły objuczone namiotami, ubraniem, żywnością, słowem wszystkiem co dobrze urodzonemu turkowi niezbędne, miało poprzedzać Effendich.

Sheriffeh promieniała radością. Na dzielnym arabskim koniu z błyszczącym wzrokiem i zarumienioną twarzą wyglądała tak uroczo, że Murad nie mógł oderwać od niej oczu.

Około południa mały orszak przybył na miejsce. Po sutym posiłku, kiedy już służba sprzątnęła porozkładane obrusy, przyjaciele spoczęli w cieniu kwitnących magnolji. Pomimo,

że rozmowa nie mogła być ożywiona, czas pędził niby na skrzydłach. Murad raz poraz gonił wzrokiem to różowy przyczepiony do szczytu gór obłoczek, to płochliwą gazellę, następnie wskazywał te cuda Sheriffeh i zapytywał oczami: „Nieprawda? tak tu pięknie!“ a na to czarnookie pacholę wołało głośno: „Zaiste! wszystko co nas otacza piękne, czarujące jak w raju!“ śmiejąc się i szczebiocząc niby ptaszek.

Nagle Sheriffeh milkła a wyraz przelotnej trwogi zasępiał jej lica. W takich to chwilach już, już miała wyznać Muradowi kim jest i błagać o przebaczenie, lecz słowa więzły jej w ustach.

— Nie, nie, mówiła do siebie – nie teraz, wieczorem, kiedy się ściemni, wtedy będzie śmielszą. Lecz wieczór minął, skały i lasy kąpały się w księżycowem świetle a ona wciąż jeszcze nie zebrała odwagi. Następnego dnia Murad i Sheriffeh za ręce się trzymając, błądzili poprzez zielone pagórki lub ciemne gęstwiny lasów, Sheriffeh odzywała się coraz rzadziej a tylko, kiedy niekiedy, ciężkie westchnienie wydzierało się z jej piersi; Murad wtedy spoglądał pytająco, lecz odwracał natychmiast głowę.

— Jakim cudem chłopiec może mieć tak cudną rączkę, myślał Murad, przypatrując się z mimowolnym zachwytem maleńkiej dłoni Sadyka. Niewiele brakowało a byłby ją przycisnął do ust... i tu o mało nie wybuchnął głośnym śmiechem. Całować rękę chłopca, co za szaleństwo! Swoją drogą nie mógł zaprzeczyć, że obecność Sadyka sprawiała mu dziwną niepojętą roskosz. Czem się to działo, nie wiedział.

W ten sposób minął jeszcze jeden dzień, a niepokój Sheriffeh wzrósł do najwyższego stopnia.

— Co począć! Co powiedzieć — zapytywała samej siebie i ciągle napróżno.

Nadeszła chwila powrotu. Służba zajęła się zwijaniem namiotów oraz siodłaniem koni. Wtedy mniemany Sadyk zerwał się z miejsca i klękając przed Muradem zaczął drżącym ze strachu głosem.

— To ja Sheriffeh, twoja nieszczęśliwa żona.. O Muradzie, przebacz mi!

Nie dokończyła... Młody człowiek bowiem zachwiał się i z poczerniałą nagle twarzą odstąpił o parę kroków. W sercu jego ozwała się nagle paląca niechęć do istoty, która gwoli przelotnemu kaprysowi, jak mniemał, a następnie dzikiej niedorzecznej dumie, skazała go na tułactwo, na rozłączenie z drogiemi istotami. Jakto, miałby zapomnieć krwawej niezasłużonej zniewagi, zapomnieć, jak owej nocy, kiedy niby złoczyńca szukał schronienia w najciemniejszych norach Stambułu... A teraz jakiż to obłęd miesza mu zmysły? Więc śliczne, słodkie pacholę a Sheriffeh to jedno? Więc miłość i nienawiść mogą mieszkać w jednej duszy ludzkiej?

— Nigdy, choćby przyszło skonać, nigdy — powtarzał z dzikim jakimś uporem i rosnącą coraz to bardziej zawziętością...

Wracali w ponurem milczeniu. Sheriffeh zdawała się nawpół żywą istotą. Teraz, kiedy ją Murad odepchnął powtórnie, kiedy wszystkie nadzieje runęły, nie pozostało nic prócz śmierci.

Późną już nocą stanęli przed zamkiem, i w ten sposób rozstali się ze sobą. Jednej tylko rzeczy nie przypuszczała Sheriffeh, a mianowicie, że i Murad spędził bezsenną noc.

Nazajutrz skoro bej zapytał Sadyka o rezultat podróży, ten odparł krótko, jakby wymijająco, że nie udało się uzdrowić Ibrahima.

Teraz dostojny władca był najsilniej przekonany, iż w całej tej historji, począwszy od przybycia Ibrahima, na jego dwór, tkwi jakaś tajemnica i przysiągł sobie, że bądź co bądź musi ją wydobyć.

Najskuteczniejszym ku temu środkiem wydała mu się groza, tupnąwszy zatem nogą, rzekł głosem, któremu napróżno usiłował nadać brzmienie podobne do ryku lwa.

— Drżyj zuchwały chłystku, albowiem nie ujdziesz kary. Czterdzieści razów w pięty, rozumiesz! Jak postanowiłem tak się stanie.

I natychmiast z wielkim hałasem i krzykiem rozesławszy kilkudziesięciu ludzi, rozkazał przywołać przed siebie kata Chorefsa. Temu w obecności całego dworu oznajmił, że Sadyk Effendi oskarżony o wprowadzenie w błąd dostojnego beja ma otrzymać czterdzieści uderzeń w pięty. Następnie odprawił wszystkich i zbliżywszy się do Chorefsa rzekł półgłosem:

— A teraz bacz pilnie co ci powiem. Gdy Sadyka wprowadzisz na rusztowanie, zwiążesz mu ręce i podniesiesz pręt w górę... Na tem koniec, bo zapamiętaj sobie, ani włos z głowy spaść mu nie może. Zrozumiałeś?

— Ty wiesz beju.

— Nikt nie powinien domyślać się mego polecenia. Piśniesz choć słówko a każe cię zaćwiczyć na śmierć.

— Z pozwoleniem waszej dostojności, będę żył długie lata

Wieść o egzekucji ślicznego Sadyka rozeszła się po dworze. Wszyscy, jak jeden mąż, ubolewali nad pacholęciem, wszyscy jednogłośnie potępiali okrutny wyrok beja.

Murad blady jak płótno, ze zwieszoną głową błądził po krużgankach i korytarzach zamku, nie mogąc znaleść miejsca. Powtarzano z ust do ust jakiej winy dopuścił się Sadyk Effendi, więc Murad wiedział że Sheriffeh ma cierpieć przez niego i że on jest jej katem.

Tymczasem biedna Sheriffeh tonęła we łzach. Nie z obawy tortur drżało jej serce, wiedziała bowiem, iż prawie do ostatniej chwili wszystko od niej zależy Dość wezwać czekającego w pobliżu Ali-beja a natychmiast pospieszy z pomocą. Tak... lecz wtedy pozbawią ją nawet widoku Murada, bo przecież sułtańska córka żadną miarą nie może przebywać w usługach podwładnego. Zresztą w głębi jej serca tlała iskierka nadziei, że widok znoszonych przez nią katuszy, wywoła wzruszenie Murada i zegnie jego hardą duszę.

Dreszcz trwogi oraz współczucia przebiegł zgromadzonych, skoro piękny jak anioł chłopiec ukazał się wśród pachołków kata. Podług zwyczaju, który wymaga ażeby wszelkie egzekucje odbywały się z wielką okazałością, cały dwór był obecny. Wprost rusztowania na najwyższem wzniesieniu zajmował miejsce bej i raz wraz spoglądał w żółto-szare oblicze stojącego tuż przy nim Murada.

W tłumie ozwał się głośny pomruk litości czy gniewu, Sadyk Effendi bowiem stał już na rusztowaniu. Muradowi pociemniało w oczach, nie słyszał ani nie widział nic, prócz obnażonych białych jak alabaster nóżek, które niebawem świszcząca pletnia zmieni w dwie żywe okropne rany.

Chorefs stanął przed bejem, uderzył czołem o ziemię i czekał rozkazu.

— Czyń twoją powinność — rzekł silnym głosem bej.

Chorefs uchwycił ramię pacholęcia i przygiął je ku ziemi. Nagle jednak otrzymał tak silne pchnięcie, że omal nie spadł z wzniesienia

— Puść ją — krzyknął z wściekłością Murad i niech się nikt nie waży dotknąć jej szaty. Ramię sułtanki to nie łapa pierwszego lepszego włóczęgi.

Z temi słowy wziął Sheriffeh na ręce, przytulił do piersi i stanął przed bejem.

— To moja małżonka — rzekł. Niech spocznie pod waszym dachem, a jutro puścimy się z po wrotem do Stambułu.

Sprytny bej odrazu odgadł i domyślił się wszystkiego, co mu z tem większą przyszło łatwością, że historja Murada krążyła z ust do ust. Teraz nie wiedział jak ugościć dostojną parę. Złoto, srebro, drogie kamienie, rumaki, niewolnice i niewolnicy, wszystko było na ich rozkazy, z wszystkiego mogli czerpać pełnemi dłoniami.

Łatwo sobie wyobrazić radość Ali-beja skoro jeszcze tego samego dnia ujrzał swego „syna po myśli“, tak zwykle nazywał Murada, a w jego objęciach rozpromienioną sułtankę.

Widok kwitnącej zdrowiem i radością córki, wygnał z serca padyszacha urazę, jaką żywił dla zięcia. Zresztą przyznawał zawsze, że bądź co bądź, Murad jest dzielnym człowiekiem a teraz myślał tylko w jaki sposób zużytkować jego zdolności.

Po wspólnej naradzie ofiarował mu ważny posterunek na granicy kraju. Na nowem tem stanowisku młody człowiek okazał tyle hartu i energji, że już w lat parę objął naczelne dowództwo armji. Po długiej i uciążliwej wojnie, w której niejednokrotnie dowiódł zimnej krwi i nieustraszonego męztwa, wrócił jako zwycięzca do Stambułu. Wreszcie został ministrem, lecz żelazna surowość z jaką ścigał nadużycia i przekupstwa, rozpowszechnione w ottomańskiem państwie, zjednały mu mnóstwo niechętnych. To też kiedy ze śmiercią padyszacha stracił głównego protektora, a nowy sułtan dał się opanować przez wrogie mu stronnictwo, Gurdszi Murad pasza (takie nosił obecnie miano), porzucił urząd i usunąwszy się w zacisze prywatnego życia, długie jeszcze lata przeżył wraz z ubóstwiającą go i nawzajem ubóstwianą Sheriffeh.

Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, A. Milski i Sp.
Z drukarni J. Czaińskego w Gródku.